

Aleksandra Igras

Włosy koloru zmierzchu

Lata przeszły nie wiadomo kiedy. Wiktor Zygarlicki przeżył je na rzeczach bizarnych, takich jak nigdy nieskończone studia korespondencyjne w Zimbabwie, onlajnowe zloty „ufoków” czekających na ekstraterrestrialne świetniejsze cywilizacje i na długoletniej walce z New World Order – głównie przed ekranem maca, po północy, w kadzidlach THC i przy kuflu Złatego Bażanta.

To tamta doba zmieniła wszystko. Te z pozoru nieznaczające przemijające sekundy, które przybliżyły szereg czterech zer zwiastujących kolejną kartkę w kalendarzu. Tym razem tę, która rozpoczęła u Wiktora czterdziestą pierwszą wiosnę. On zupełnie nieświadom – z beztróską osoby życiowo poniekąd spełnionej, lecz umiarkowanie zatroskanej o losy rasy ludzkiej – o północy ślinił pasek kleju na bibulce dzointa zawierającego odkrywczą mieszankę kannabinoidów. To właśnie wtedy Wiktor Zygarlicki został odcięty od rodzinnego funduszu. Przekonał się o tym następnego dnia, kiedy próbował zapłacić w księgarni internetowej za dość różnorodną kolekcję książek na temat mindfulness, wege diety i wewnętrznego dziecka.

– Nie ma. Koniec z tym, kochaneczku – obwieścił stryj Leopold, główny dysponent owego funduszu. Stryj siedział w kraciastym fotelu i elegancko pykał fajkę.

– Stryjaszku, cóż zatem robić? Etat odpada. Stryjaszek wie lub przynajmniej zechce sobie wyobrazić jakie to nikczemne zajęcie. Odrażające wprost! No mi nie przystoi. – Wiktor z początku spuścił z zakłopotaniem głowę, by podnieść ją z cieniem wyniosłej dumy na bezkrwistym popielatym policzku.

– Wiktorze, owszem, dość paskudne, ale znośne. No weźmy na ten przykład kuzyna Bogusia. Pracuje na pół etatu w wydawnictwie czy tam w bibliotece i dzięki temu dostęp, wprawdzie ograniczony, do funduszu ma!

– Stryjaszek raczy żartować. Te wszystkie literatury piękne zmierzły mi okropnie, tym bardziej w obliczu klęsk wszechświatowych, których badaniami zajmowałem się przez ostatnią dekadę. Moje wnikliwe obserwacje, zapiski kiedyś zostaną odkryte, uwolnione, słowem: do rewolucji ogólnoludzkiej się przyczynią.

– Otóż to, otóż to – przyznał stryj dla niepoznaki, po czym jasno postawił sprawę. – Dość już tego pierdolenia, Wiktorze: albo etat, albo żeniaczka. Na wschodnich rubieżach ostała się jeszcze zacna familia z jedną lub dwiema pannami na wydaniu. Jedź, zakręć się, wżeń, na rzecz krwi naszej i na rzecz swojego nicnierobienia. Jak się uda, będziesz zarządzać... – I tu stryj, zwizualizowawszy sobie Wiktora na małżeńskiej otomanie, odpalającego blant za blantem, zgął w powietrzu po dwa palce u każdej z dłoni jednocześnie. – ...ten tego, zarządzać będziesz jakimś uroczym latyfundium. Ponoć i warzelnię piwa jeszcze mają wyborną i kilkanaście świetnie funkcjonujących kolcentrów w Białymstoku i w Lublinie. A dziewczoje na pewno usychają z tęsknoty za kawalerem z wielkopolskiego kręgu. Jakim ty jesteś!

– Pewnież mocno nieurodziwe i dlatego! – zachnął się Wiktor i wybiegł z gabinetu. Tydzień później siedział już jednak w pierwszej klasie Intercity do Białegostoku i z twarzą ukrytą w dłoniach lkał przez całą drogę.

Obszerne domostwo dalekiego kuzynostwa pysniło się na piaszczystym pagórku. W prostokacie korynckich kolumn zamykało się obszerne wejście główne. Okoliczne burzany tryskały zielenią, a słońce pomалу zachodziło. I w tym anturazu ujrzał ją po raz pierwszy. Stała pośrodku przepastnego trawnika z twarzą zatopioną w jasnofioletowych stożkach krzaku bzu. Jej poskręcane, długie, nieujarzmione włosy koloru starego złota spajały się z pasmem zmierzchu, pięknie odznaczonym na nieboskłonie. Prawa dłoń zaciskała się na nóżce kryształowego kielicha, prawy mały palec arystokratycznie odginał się do tyłu, a jej nagie plecy, pochylone w łuku, doskonale prezentowały wszystkie kręgi – jakby od szyi do pupy rozpostarty był sznur drogocennych nieregularnych kamieni. Lewa dłoń opuszczona wzdłuż ciała dzierżyła grubą szyjkę butelki jakiegoś pokaznego trunku. Złotowłosa zwróciła się ku niemu nagle, krocząc odważnie, ale chwiejnie – raz że trunek uderzył jej już do głowy, a dwa że obuła się w klapka na cieniutkiej szpilce i w trampka jednocześnie. Miała na sobie piękną długą burkundową suknię.

– Kuzinus poznanensis, siemanderos muchachos! – ryknęła na powitanie. Ten jej jazgot uwiązał w jego skroni, wywołał popłoch, chęć ucieczki. Na szczęście Złotowłosa w odpowiedniej chwili przelamała jego strach:

– Kieliszczyk moecika? – zagaiła, odsłoniwszy butelkową etykietę. Wiktor z przyjemnością przyznał, że co jak co, ale jak kuzynostwo popija w tygodniu moeta, a nie plebejskie prosecco, to może da radę jakoś tu wytrzymać.

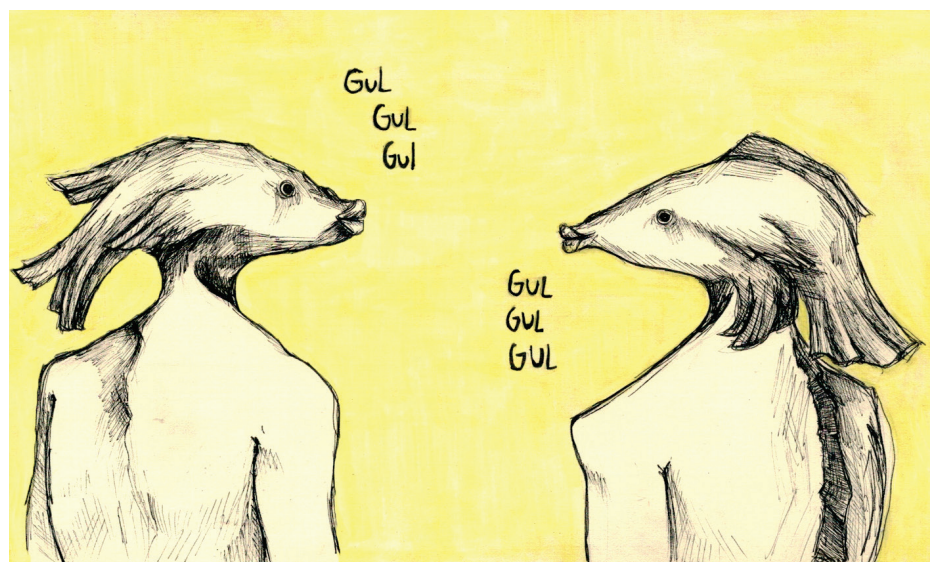
Trzy godziny później, w dziwnym pijacko-narkotykowym zwidzie uprawiali miłość francuską. Wiktor sam nie wiedział, jak do tego doszło. W ostatnich latach ta sfera jego życia, tak jak w zasadzie wszystkie pozostałe, została przeniesiona do bezpiecznej, znanej i higienicznej przestrzeni siedemnastociałowego ekranu. Jego jaźń w ogóle nie była zainteresowana kontaktem fizycznym, ale jak na złość tamtej nocy ciało ogłosiło niepodległość. Wili się oboje niestrudzenie, do utraty tchu. Złotowłosa przyjmowała demoniczne pozy i z wprawą wytrawnego kata pastwiła się nad Wiktorem i jego bezbronną chucią.

Odjechał stamtąd po tygodniu. Już w drodze powrotnej bił się z myślami, czy kiedykolwiek tam się jeszcze pojawi. Plotka o jego rzekomym narzeczeństwie dotarła do poznańskiej rodziny, zanim jeszcze zdążył zakupić zapas środków nasennych w przydworcowej aptece. Kiedy następnego dnia stryj Leopold zadzwonił do niego, Wiktor na końcu języka miał gotową formułkę o przyjęciu się na sprzedawcę do sklepu z asortymentem CBD. Jednak stryj uprzedził go, powiadomiwszy Wiktora o uruchomieniu dla niego specjalnego funduszu reprezentacyjno-narzeczeńskiego. W ten oto sposób postanowienie Wiktora o podjęciu pracy bądź próby samobójczej ulotniło się jak te noworoczne u większości ludzi.

Udawało mu się wszystkim przez parę miesięcy zbywać. Wiktor z wrodzoną pieczołowitością na nowo

odbudowywał wirtualny byt. Niestety, w końcu o ponowną wizytę zaczęła się dopominać rodzina narzeczonej, a stryj stał się coraz bardziej niecierpliwy. Wiktor z powrotem zaczął układać sobie w głowie karierę sprzedawcy, ale akurat tego dnia natknął się w przestrzeni internetu na dość podstępne BDSM porno, gdzie główna „artystka” była ludzako podobna do Złotowłosej. Coś w nim drgnęło. Z przerażeniem, ale i pewną satysfakcją odkrył, że jakaś jego część zatęskniła za tamtymi doznaniem. I tak oto ponownie zawitał na Podlasiu.

Nie poznał jej. Dopiero po dziesięciu minutach burzę złotych loków połączył z rysami twarzy. Twarzy, która tkwiła w jakiejś większej, pełniejszej przestrzeni. Jego koścista, demoniczna kochanka była teraz łagodnicą dziewczyną o przepastnych, rubensowskich kształtach. Imię, nazwisko, adres, włosy, oczy, usta – te się zgadzały, reszta już nie. Jej osobowość również była przeciwieństwem tamtej Złotowłosej. Nie było już imprez, moeta, kokainowych strużyn i wielogodzinnych orgietek. Chodzili za to na długie, dżdżyste spacerunki po okolicy zatopionej w późnojesiennym krajobrazie. Wiktor po raz pierwszy odkrył radość spędzania czasu z żywą osobą, szczególnie, że ta nowa Złotowłosa pozwoliła mu perorować do woli na temat teorii spiskowych, pozaziemskich cywilizacji i nowych, bardzo wydajnych metod uprawy konopi indyjskiej. I najważniejsze – w ogóle nie była zainteresowana bliskością fizyczną. Nic a nic. Taką ją pokochał.



Amelia Kulikowska / PLSP w Supraślu

Pech chciał, że znowu musieli się rozłączyć. Złotowłosa zobowiązała się ukończyć ostatni semestr studiów w Nowym Orleanie, by do ślubu z Wiktorem pójść już jako pani magister. Dyplom przywiozła w czerwcu, a wraz z nim starą wersję siebie – demoniczną i obmierzłą. Tym razem przypominała lalkę Barbie w wersji voodoo.

Z początku myślał, że to na chwilę, że to tylko ciało, powłoka, którą da się z niej zedrzeć, zamienić, zapomnieć. Ale za każdym razem kiedy wyciągał ją na przechadzkę, by wskrzesić wspomnienie tamtych późnojesiennych rozmów, tamtego rosnącego w nich żaru uczucia – ona rozumiała to zupełnie na opak i bezwstydnie ciągnęła go w krzaki, zarośla, by dostać to „na czym jej jedynie zależało.

Wiktor na nowo rozważał samobójstwo. Ustalił nawet datę na Noc Świętojańską. Postanowił, że odurzy się grzybową psylocybiną i powiesi na gałęzi topoli malowniczo rosnącej nad rzeką. Zafunduje sobie śmierć – z racji swojej

krwi – na jakąś chwilę, ale miał nadzieję, że na tyle długą, aby dostęp do funduszu przyznano mu na wieki wieków. I gdy już mocował sznur na wybranym, solidnym konarze – zza pnia wyłoniła się ona: bezwstydną, naga, z ironią wypisaną na twarzy, z plugawym uśmiechem. Wiktor nie zwlekał ani chwili. Doskoczył do niej i wbił kły w jej szyję.

I wypełniło się to, co od wieków się wypełniało. Inicjacja dla Wiktora była skokiem w nieznaną, ekscytującą, pozaludzkie – była więcej niż spełnieniem najśmielszych marzeń, najintensywniejszych doznań. Gdy nad brzegiem rzeki Złotowłosa leżała już zupełnie bez sił, Wiktor zyskał trochę czasu na kolejny etap unicestwienia. Z wielką radością skonstatował, że topola, mająca być współtowarzyszką jego czasowej śmierci, jest gatunku osika. Szybkim, sprawnym ruchem oderwał jedną z gałęzi i - z impetem, napierając całym ciężarem swego ciała – wbił ją w serce półkrwi Złotowłosej. Byli w końcu kuzynostwem.

ALEKSANDRA IGRAS

– ur. w 1981 r. w Lublinie. Absolwentka dziennikarstwa na Uniwersytecie Jagiellońskim. Niegdyś pracowała jako copywriter. Od wielu lat przedsiębiorczyni. Jako aktorka amatorka uczestniczyła w kilkuletnim projekcie teatralnym DDK Węglin – „Matka Polka Teatralna. Konkurs”. Do chwili obecnej autorka trzech opowiadań. Debiutanckie *Od niechcenia* opublikowała na łamach portalu „wydawnictwo j”. Kolejne – *Pokrzywy* – zostało wyróżnione w ogólnopolskim konkursie im. Eugeniusza Paukszy (2021).



foto: prywatne archiwum autorki